

MAJA VAN STRAATEN

Stylowy kryminał z humorem!

FRANIA TAŃSKA
i TAJEMNICA
ZAGINIONEGO
OBRAZU



Przedwojenna Warszawa.
Jeden skradziony obraz...
i troje przyjaciół
na jego tropie

FRANIA TAŃSKA
i TAJEMNICA
ZAGINIONEGO
OBRAZU

MAJA VAN STRAATEN

FRANIA TAŃSKA
i TAJEMNICA
ZAGINIONEGO
OBRAZU

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-62-3

ROZDZIAŁ I

W KTÓRYM POZNAJEMY FRANIEŻ TAŃSKĄ, A W MUZEUM NARODOWYM DOCHODZI DO ZUCHWAŁEJ KRADZIEŻY

Frania Tańska zjawiła się w Warszawie w roku 1922, by uciec od przeszłości. Bolesnie oberwała od wielkiej historii, która nie tylko zabrała jej pierwszą młodzieńczą miłość, ale i zburzyła plan na całe życie, zakładający rodziną sielankę na mazowieckiej prowincji. Frania chwilowo odmawiała stworzenia dla siebie nowego scenariusza, życie bowiem straciło dla niej sens, a nie targnęła się na nie tylko ze względu na matkę.

W mieście nie zaznała ukojenia, przynajmniej nie od razu, znalazła za to pracę w Muzeum Narodowym przy ulicy Podwale 15, tym samym, które niemal dziesięć lat później przeniesiono do nowej siedziby przy Alejach Jerozolimskich. Znalazła również dwoje serdecznych przyjaciół — Lolę Nowicką, reporterkę rubryki towarzyskiej w „Tygodniku Wytwornym”, i Sándora Bercsényiego, Węgra, który nagminnie łamał kobiece serca i towarzyskie normy. Ta druga skłonność była zresztą fundamentem ich przyjaźni. Frania również miała na koncie liczne występki przeciwko obowiązującym zasadom, co zresztą szeroko komentowano. Za jej plecami, rzecz jasna.

Cała trójka mogła pozwolić sobie na nieskrępowane korzystanie z uroków życia w Warszawie, co wcale nie

było w owych czasach przywilejem powszechnym. Większość mieszkańców stolicy ledwo wiązała koniec z końcem i tłoczyła się w przepełnionych klitkach o wątpliwym standardzie. Miasto co prawda rosło w oczach, w centrum pięły się ku niebu nowe, secesyjne kamienice, a na przedmieściach, pochłaniających kolejne wioseczki, wyrastały jak grzyby po deszczu kwatery robotnicze i czynszówki. Wszystko to jednak nie wystarczało wobec ciągle napływających nowych mieszkańców. Przybywali z całej Rzeczypospolitej, jej kresów, a nawet spoza granic — arystokraci, artyści, babiny w kwiecistych chustkach i robotnicy w znoszonych kapotach, Żydzi w chałatach, mundurowi oraz całe rzesze ludzi niewyróżniających się ani strojem, ani fizjonomią. Na ulicach język polski ze wszystkimi swoimi regionalizmami mieszał się z jidysz. Można było usłyszeć rosyjski, niemiecki czy francuskie *merci* i *s'il vous plaît*, rzucane przez subiektów i fryzjerów w co elegantszych lokalach usługowych.

W tym wielokulturowym, pełnym skrajności mieście kwitło bujne życie towarzyskie. Cała Warszawa — ta biedna i ta bogata, polska i żydowska, wykształcona i ledwie składająca litery — tańczyła, śmiała się, piła i chadzała do kabaretów i teatrów rozmaitej proveniencji. Frania, Lola i Sándor nie żalowali czasu, nakładów finansowych i zdrowia, by dotrzymać jej kroku. Przy czym Sándor bywał na warszawskich salonach dla czystej przyjemności, Lola dla utrzymania z trudem zdobytego statusu, a Frania — dla zapomnienia.

Trzeba przyznać, że wszystko, co robiła w owym czasie, było podporządkowane właśnie temu jednemu

celowi — zapomnieniu. Praca w muzeum szczególnie dobrze się do tego nadawała. Dla Frani, która sama od czasu do czasu sięgała po pędzel, było to miejsce szczególne. Pełne ukrytych na płótnach znaczeń, zamrożonych na wieki ulotnych chwil i oczywiście kolorów, które lubiła nazywać po swojemu. To, co dla innych było po prostu żółte, ona na własny użytek musiała określić jako kolor kwiatu mlecza, mokrego piaskowca, piersi pliszki czy jeszcze inaczej. Przecież to były zupełnie inne barwy i dziwiło ją, że niemal wszyscy dookoła zadowalali się tak nieprecyzyjnym słowem jak „żółty” albo „niebieski” czy „zielony”. Te to miały dopiero zawrotną liczbę wariantów! Okazji do takich analiz kolorystycznych nie brakowało. Kolekcja muzeum rosła w szybkim tempie dzięki wysiłkom dyrektora i pracowników, którzy chwyтали się najróżniejszych sposobów, by poczynić udane zakupy i przyciągnąć hojnych darczyńców. I właśnie podczas jednego z przyjęć dla uhonorowania trzech benefaktorów doszło do przedziwnego incydentu, który zapoczątkował serię wypadków o dramatycznym obrocie.

Ale po kolei.

PIĄTEK, 29 SIERPNI 1924 ROKU

Frانيا Tańska śpieszyła w dół ulicy Podwale, wymachując torebką. Jej długie rude włosy wymknęły się z pośpiesznie wykonanego upięcia. Rozwiane były również poły płaszczka z cienkiej bawełny i sukienka w kolorze chabrowym.

Dotarła wreszcie pod numer 15 i pchnęła oburącz ciężkie dębowe drzwi. Minęła pustą stróżówkę, która — swoją drogą — pusta być nie powinna, i po szerokich kamiennych schodach, przeskakując co drugi stopień, wbiegła do głównej galerii malarstwa polskiego na pierwszym piętrze. Tu zwolniła wreszcie kroku i zwróciła spojrzenie ku ścianie gęsto obwieszanej obrazami. Zajmowały każdy centymetr wolnej przestrzeni. Stłoczone były od podłogi aż po wysoki sufit. Denerwowało to Franię, ponieważ zakłócało odbiór poszczególnych dzieł. Ledwo dostrzegła jakiś interesujący szczegół, powiedzmy — wyciągnięte w galopie końskie pęciny, a już o uwagę dopraszały się elementy uzbrojenia któregoś z królów uchwycone na płótnie powyżej. Ale nim zdążyła skupić się na słonecznym blasku odbijającym się w papierśniku, z obrazu obok wołały ją roztańczone kłosa zbóż.

Muzeum było wypełnione po brzegi. Czas najwyższy, by znaleźć dla niego nową siedzibę, mogącą pomieścić rosnącą kolekcję. Mówiono o tym już od dawna, zakupiono duży plac, rozpisano nawet otwarty konkurs na projekt gmachu. Na razie jednak budowa się nie rozpoczęła.

Frانيا tak zapatrzyła się na obrazy, że nie zauważyła stojącej na środku skrzyni wielkości krowy. Zderzenie było bolesne.

— Jasna cholera i nóżki baranie! — zaklęła pod nosem.

Z drugiej strony skrzyni, niczym klaun na sprężynie wyskakujący z pudełka, ukazał się Romuś Paprotek, muzealna złota rączka.

— Uszanowanie! — Uśmiechnął się szeroko.

Frania odpowiedziała na powitanie i zaczęła masować kolano, które ucierpiało w zderzeniu ze skrzynią.

W tej samej chwili do galerii przydreptał kustosz Skiełło. Był dumnym posiadaczem bujnych wąsów, płynnie przechodzących w bokobrody, co dodawało jego fizjonomii powagi i skutecznie odwracało uwagę od przerzedzonych na czubku głowy włosów. Odznaczał się niskim wzrostem i okazałym brzuchem, który był efektem miłości do cukierków i czekolady. W kieszonce surduta zawsze nosił pudełko karmelków i święcie wierzył, że zawarty w nich cukier nie tylko krzepi, ale i koi nerwy. A te kustosz miał od czasów wojny skołatane, w związku z czym porzucił służbę wojskową na rzecz służby sztuce. Patrząc na jego okrągłą postać i nerwowe ruchy, trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka lat wcześniej był on sprawnym kawalerzystą, który poprowadził swój pułk do niejednego zwycięstwa.

— Jest! Wspaniale! — Zatarł pulchne ręce i obszedł skrzynię dookoła. Patrzył przy tym z taką czułością i zachwytem, jakby sama skrzynia zbita z prostych sosnowych desek była rzadkim dziełem sztuki.

Romuś wyciągnął z kieszeni młotek oraz zakrzywioną łapkę do gwoździ i spojrzał wyczekująco na kustosza.

— Otwieramy! — powiedział Skiełło.

Paprotek sprawnie podważył wieko opatrzone napisem: „Ostrożnie!”. Kiedy opadło z hukiem na podłogę, nieliczni o tej porze zwiedzający podeszli z zaciekawieniem i wyciągając szyje, próbowali zajrzeć do środka. Kustosz Skiełło drżącymi dłońmi rozgarnął wióry zabezpieczające

znajdujący się w skrzyni obraz. Było ich jednak tak dużo, że nie mógł się przez nie przekopać. Udało mu się jedynie odsłonić fragment ramy.

— Wyciągamy! — zarządził.

Romuś skinął na stojącego w grupce gapiów stróża, pana Miecia. Złapali we dwóch znajdujący się w skrzyni obraz i unieśli. Ukazał się jego górny fragment — bezlistne korony drzew, skrawek sinego nieba.

— Ciężki jak diabli — stęknął pan Mieciu.

— Ostrożnie, panowie, ostrożnie! — Kustosz Skieńło przestępował z nogi na nogę.

Obraz podniesiono wyżej, tuż ponad krawędź skrzyni. Zebrani wokół wydali zgodny okrzyk zachwytu. Na tle pokrytego śniegiem lasu ukazała się poderwana do lotu smukła ptasia sylwetka — rozpięte skrzydła o ciemnym umaszczeniu, pierś w szaro-białe pasy, czarny nakrapiany ogon.

— Kukułka — wyszeptała Frania. Głos uwiązał jej w gardle z wrażenia. Ptak był wybornie oddany.

— Wieszamy, panowie! — Kustosz przetarł spocone czoło chusteczką.

Pan Miecio z wysiłku aż poczerwieniał na twarzy. Zrobił niepewny krok na ugiętych nogach i niemal stracił równowagę, gdyż Paprotek, silny i wyprostowany jak struna, ruszył w przeciwnym kierunku. Obraz zakofysał się niebezpiecznie.

— Ostrożnie! — powtórzył kustosz, łapiąc się za serce. Frania zagryzła dolną wargę, niezbyt starannie ukarminowaną szminką.

Przez chwilę naradzali się nerwowo, obracali to w prawo, to w lewo, wreszcie chwiejnym, acz w miarę skoordynowanym krokiem ponieśli obraz w stronę przygotowanego miejsca na ścianie.

— W prawo! Trochę bardziej w prawo! — huknął kustosz. — Dobrze! Mamy go!

Wreszcie udało się zaczepić przymocowaną z tyłu linkę o hak. Romuś powoli wypuścił z rąk ramę. Bujała się przez chwilę, cichutko szurając o ścianę. Zebrani w galerii patrzyli w milczeniu na rozkołysaną kukułkę, a ona wbiła w nich swe bursztynowe oko. To była jedyna plama koloru w czarno-białej kompozycji.

Kiedy obraz ostatecznie znieruchomiał, pierwszy odezwał się kustosz Skiełło:

— Wspaniały, wspaniały! Proszę tylko spojrzeć na te detale, te piórka! Co za dynamika!

— Znakomity — przyznała Frania.

Pomyślała przy tym o niedokończonej martwej naturze z bażancimi piórami, która czekała w jej własnej pracowni w domu, i poczuła ukłucie zazdrości.

Zwiedzający galerię, przyciągnięci na chwilę przez *Kukułkę*, zaczęli się rozchodzić.

— Coś w tym obrazie, uważa pan, nie gra. — Stróż podrapał się po głowie.

Kustosz poróżowił z oburzenia.

— Panie Mieczysławie, co też pan opowiada! To obraz Józefa Chełmońskiego! Coś tu nie gra, dobre sobie! — Kustosz Skiełło sięgnął do kieszonki surduta po pudełko karmelków piersiowych Wedla. Otworzył je i podsunął

Frani. Podziękowała, za to Romuś i pan Miecio chętnie się poczęstowali.

— Wiem! — Paprotek szturchnął stróża w bok. — Rama!

— Rama?

— Za bardzo zdobna, nie pasuje. Panie kustoszu, skoczę do składziku i zbiję jakąś proszą.

— Nie, nie! — Kustosz Skiełło omal nie zakrztusił się karmelkiem. — Ten obraz to nie darowizna. To depozyt. Hrabia Kozieliński jedynie użycza go nam na kilka miesięcy. Prosił, by nie zmieniać ramy.

Zapadła chwila milczenia. Cała czwórka odsunęła się kilka kroków do tyłu, by mieć lepszy widok. Romuś Paprotek ssał cukierka, głośno cmokając.

— Wygląda, jakby miała wylecieć z obrazu — powiedział.

— Kukułeczko, panienczko, z paproci i ziela, powiedz mi, ile lat do mego wesela — zarechotał pan Miecio, po czym mlasnął i głośno rozgryzł karmelka.

Frania zamarła. Też kiedyś wypowiedziała te słowa, wsparta na ramieniu Sewera w pachnącym sosną mazowieckim lesie. Była wtedy taka szczęśliwa.

Głos kustosza Skiełły przeciął nić wspomnień.

— Pani Franciszko, proszę wprowadzić *Kukułkę* do katalogu. A wy, panowie, zabierzcie stąd tę skrzynię i przymocujcie tabliczkę. Panie Mieczysławie, czy pan nie powinien pilnować wejścia?

Stróż zbladł i popędził na dół. Po chwili zniknął i Roman.

— Wspaniały! Wspaniały! — wymamrotał kustosz Skiełło, oddalając się nieśpiesznie z rękami złożonymi na brzuchu.

Frania została sama przed obrazem. Kukułka rozświetlona miękkim, rozproszonym światłem zajmowała jego centralną część. Czernie i szarości w upierzeniu zostały subtelnie zestrojone. Była doskonała. Ale... pan Miccio miał rację, rzeczywiście coś tu nie grało. I chyba nie była to barokowa rama.

— Podoba się pani? — usłyszała nagle za plecami.

Odwróciła się. Wysoki, chudy jegomość w dobrze skrojonym garniturze uśmiechnął się przyjaźnie.

— Bardzo!

— Pani pozwoli, Antoni Kozieliński. — Skłonił się.

— Ach, to pan! — Franię zaskoczył młody wiek hrabiego, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. — Jakże miło, że użycza nam pan takiego dzieła. Franciszka Tańska, pracuję w muzeum. — Wyciągnęła ku niemu dłoń. Pochylił się i złożył na niej pocałunek. Okrągłe okulary w srebrnych oprawkach zsunęły mu się przy tym na czubek prostego nosa.

— Wierzę, że tu jest bezpieczniejsze. U mnie właśnie trwa remont — odpowiedział, poprawiając kciukiem okulary. — A przy okazji szersza publiczność może poznać *Kukułkę*. To akurat mniej znany obraz Chełmońskiego, nigdy nie był wystawiany.

— Kustosz Skiełło wspominał, że znał pan osobiście artystę.

— Owszem.

Podszedł bliżej. Złożył ręce na plecach i pochylił się w stronę obrazu. Studiował go z wyraźnym upodobaniem.

— Lubię kukułki — powiedział. — Czy pani wie, że podrzucają potomstwo innym ptakom? To się może wydawać samolubne, nawet okrutne. — Odwrócił się w jej stronę. — Ale ja myślę, że jest to przejaw desperackiej miłości. Porzucają swoje pisklęta, dając im tym samym szansę na życie. Jest w tym bolesnym wyborze piękno, nie uważa pani?

— Ciekawe spostrzeżenie, choć sama nie ujęłabym tego w ten sposób. Tak czy inaczej, ptaki to bardzo wdzięczny temat. A ten obraz bez wątpienia silnie działa na odbiorcę.

Pokiwał głową.

— Proszę mówić dalej.

— Przyciąga, hipnotyzuje, zachwyca — powiedziała. — Bez wątpienia. Ale wzbudza też niepokój.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Niepokój? Nie rozumiem. — Poprawił okulary, które ponownie zsunęły mu się z nosa.

— Ja też nie. — Uśmiechnęła się. — Przynajmniej na razie.

Hrabia Kozieliński odwrócił się w stronę obrazu. Zaczął przyglądać mu się uważnie od góry do dołu, jakby czegoś w nim szukał.

— Na mnie już czas — powiedziała Frania. — Do zobaczenia jutro.

Nie odpowiedział. Był całkowicie pochłonięty studiowaniem *Kukułki*.

Skład Towarów Węgierskich Sándora Bercsényiego znajdował się na końcu ulicy Żurawiej, tej samej, przy której mieszkała Frania. Nazwa tego przybytku była myląca, gdyż oferował on zasadniczo tylko jeden produkt — tokaje, na dodatek wszystkie z tej samej winnicy. Wewnątrz było jasno, a to za sprawą regularnie bielonych ścian i dużych okien, które mimo że pokryte warstwą ulicznego kurzu, wpuszczały do pomieszczeń na parterze dużo światła.

W rogu, na podniszczonym, choć eleganckim fotelu, pamiętającym jeszcze czasy rozbiorów, przesiadywał młody chart o imieniu Balaton. Na ścianach wisiały rzędy szerokich bukowych półek wypełnionych butelkami z białego szkła, pięknie eksponującego ich bursztynową zawartość. W podłodze, za prostym kontuarem pomalowanym na zielono znajdowała się kłapa, a pod nią kręte metalowe schody prowadzące w głąb piwnicy. To tam, w niewielkich dębowych beczkach dojrzewały młodsze roczniki wina regularnie zwożone tu z Węgier. Po odleżeniu stosownego czasu Sándor rozlewał je do butelek, które wędrowały na górę, na bukowe półki. Puste beczki wysyłano zaś z powrotem na Węgry, robiąc miejsce kolejnym.

Frانيا lubiła zaglądać do Sándora po pracy. Ich zażyłość narodziła się dwa lata wcześniej, tuż po jej przeprowadzce do Warszawy, kiedy to wbrew dobrym obyczajom pchnęła drzwi składu opatrzone dzwonkiem i zakupiła pierwszą w życiu butelkę tokaju. Sándorowi spodobała

się ta dziwna niezależność. W końcu nie każda panna z dobrego, ziemiańskiego domu — a nie miał wątpliwości, że właśnie takową miał przed sobą, kiedy pakował dla niej w biały szeleszczący papier butelkę szamordniego rocznik 1916 — miała odwagę na podobne zakupy w przybytku takim jak jego skład, i to w świetle dnia. Bogate warszawskie i podwarszawskie domy oczywiście zaopatrywały się u niego w całe skrzynki wina, ale wysyłano po nie raczej kucharzy czy służących, ewentualnie proszono o dowóz. Kobieta, i to kupująca butelkę — jak się domyślił — jedynie na własny użytek, była zjawiskiem tak rzadkim jak łoś na węgierskiej równinie. Choć, gwoli ścisłości, musiał przyznać, że jego zainteresowanie nową sąsiadką podsycały również spływające na gładki dekolt rude loki i oczy w kolorze migdałów. Z czasem Frania zaczęła wpadać do Sándora nie tyle po butelkę wina, co na pogawędkę, aż wreszcie wizyty w Składzie Towarów Węgierskich przerodziły się w stały element jej powrotów z muzeum do domu.

— Służę. — Sándor podał jej ogień, jak tylko wcisnęła się na fotel obok Balatona i wyciągnęła z torebki srebrną papierosnicę. — Jesteś bardziej zasępiąta niż zwykle. — Oparł się o kontuar i spojrzał na nią badawczo.

Zaciągnęła się papierosem.

— Widziałam dzisiaj obraz.

— I co?

— I nic. Przywołał wspomnienia.

— Złe?

— Dobrze. Bardzo dobrze.

— Zatem o co chodzi?

Uciekła przed jego spojrzeniem i zwróciła oczy ku sufitowi, pod którym wiła się cienka smuga papierosowego dymu.

— Wiesz, jest w tym obrazie coś niepokojącego. Mam złe przeczucia. Zresztą sam jutro zobaczysz — powiedziała po chwili milczenia. — Będziesz?

Przytaknął i mrugnął do niej. Jego brwi żyły własnym życiem, niemal tańczyły na czole, a prawa wykonywała od czasu do czasu skłon w dół, gdy puszczał do kogoś oko. Ten niepozorny ruch miał w przypadku Sándora wiele znaczeń. Raz był niczym przyjacielskie klepięcie w plecy, innym razem oznaczał nic porozumienia lub współczucie, najczęściej jednak był przejawem flirtu. Frania, wciąż jeszcze mierząca się z bolesną przeszłością, nie zwracała na nie uwagi, ale większość kobiet obdarzonych przez Sándora owym mrugnięciem oblewała się rumieńcem zadowolenia. Podobał się kobietom. Nosił się elegancko, choć — jeżeli tylko sytuacja na to pozwalała — rezygnował z krawatów i muszek, pozostawiając kołnierzyki białych koszul nonszalancko rozpięte. Miał ciemne, gęste włosy, opadające na oczy. W Warszawie mówiono o nim, że jest podwójnym szpiegiem, bałkańskim księciem, obłąkanym alchemikiem. Niewykluczone, że wiele z tych plotek sam wypuszczał w świat.

Balaton wyprostował łapy, spychając Franię na krawędź fotela.

— No już dobrze, wygrałeś. — Poglądziła go po głowie i podeszła do kontuaru. — Sándor, czy ty wierzysz w ludowe przesady?

— Ależ, Franiu, wiesz przecież, że ja w nic nie wierzę. — Znowu do niej mrugnął. — Dlaczego pytasz?

— Bez powodu — skłamała.

Zgniotła resztkę papierosa w porcelanowej popielniczce podsunętej przez Sándora.

— A ty wierzysz? — zapytał.

— Odpowiem ci za jakieś piętnaście lat, jeżeli spełni się pewna kukułcza wróżba.

Roześmiał się.

— Wypijmy za ludową mądrość!

Zanurkował pod kontuar. Zabrzęczały potrącone butelki. Po chwili wynurzył się z dwoma kieliszkami z grubo ciętego szkła. Mrugnął do Frani, podszedł do jednej z półek i ściągnął pierwszą z brzegu butelkę. Spojrzał na etykietkę i pokiwał z aprobatą głową. Z kieszonki kamizelki wyciągnął korkociąg. Kiedy korek ustąpił z przyjemnym pyknięciem, Sándor rozlał wino do kieliszków, rozchlapiując część na kontuar przez nieuwagę.

— Na zdrowie. *Egészségetekre!*

Skinęła głową i uniosła kieliszek.

— Jak interesy? — zmieniła temat.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się szeroko. Podszedł do drzwi i zawiesił na nich tabliczkę z napisem: „Zamknięte”. Po czym sięgnął po opartą o kontuar wionlonczelę i przystąpił do wykonywania *Koi Nidrei*.

Cały Sándor! Frania była pewna, że na polskim upodobaniu do dobrych węgrzynów zbija fortunę. Jego sukces był po trosze dziełem przypadku, a po trosze skutkiem skomplikowanej rodzinnej historii. Babka Sándora, córka polskiego magnata, swego czasu popełniła mezalians

z miłości. Wyszła za austro-węgierskiego posła i wyjechała do Budapesztu. Żadne z trojga jej dzieci nie mówiło płynnie po polsku, za to świetnie po węgiersku i niemiecku, co uznała za swoją życiową porażkę i postanowiła nadrobić w kolejnym pokoleniu. Sándor, najstarszy wnuk, do którego konsekwentnie zwracała się: Aleksandrze, stał się głównym obiektem jej pedagogicznych wysiłków. Trzeba przyznać, że odniosła sukces. Sándor posługiwał się bez problemu trzema językami. Pierwsze słowo, jakie padło z jego ust, było polskie i ku zaskoczeniu wszystkich brzmiało: „bursztyn” — tyleż trudne do wymówienia, co egzotyczne na Węgrzech. Polszczyzna Sándora była dokładnie taka jak jego babka eksmagnatka — elegancka, z odrobiną staroświeckiej patyny. Frania bardzo lubiła go słuchać, nieważne, o czym mówił.

Kiedy Sándor ukończył lat osiemnaście, rodzina uznała, że nadszedł czas, by odbył zwyczajową podróż po Europie. Zaopatrzony stosownie na drogę, zamiast do Wiednia, tak jak przykazał mu ojciec, Sándor udał się w przeciwnym kierunku i wylądował we Lwowie. Po czym, dalej ignorując rodzicielskie nakazy, ruszył na północ. W międzyczasie wybuchła wielka wojna, która przeszkodziła mu w dalszej podróży, czym Sándor szczególnie się nie przejął, bo w Królestwie Polskim czuł się jak u siebie. Po wojnie, wbrew wezwaniom do powrotu do rodzinnego majątku nad Bodrogiem, na nowy dom wybrał Warszawę, miasto literatów i artystów, które jako stolica niepodległego państwa właśnie otwierało nowy rozdział w swoim dotąd dość prowincjonalnym życiu. Zupełnie jak Sándor.